№ 37. Warszawa, dnia 30 Sierpnia (11 Września) 1886 roku.

TYGODNIK MÓD i POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 7 kop. 20, półrocznie rs. 3 kop. 60, kwartalnie rs. 1 kop. 80, miesięcznie kop. 60. **Na Prowincyi** rocznie rs. 10, półrocznie rs. 5, kwartalnie rs. 2 kop. 50. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cen. 80. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złotych reńskich 2 cen. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 3 centów 50. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.

Adres: J. K. Gregorowicz w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

W przyszłym kwartale **Tygodnik Mód i Powieści** wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami. Prenumerata, którą najlepiej uskutecznić za pośrednictwem samej Redakcyi, wynosi:

w Warszawie **kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50
Półrocznie . . . rs. 5
Rocznie. . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **kwartalnie rs. 1.**

Na Prowincyi z przesyłką:

Kwartalnie. . . . rs. 1 k. 25
Półrocznie . . . . rs. 2 k. 50
Rocznie . . . . . rs. 5

Nadmieniamy wreszcie, że przez Prenumeratorów tak Tygodnika Mód jak i Przyjaciela Dzieci, wychodzące zbiorowe wydawnictwo wszystkich dzieł A. Wilczyńskiego, autora **Kłopotów starego Komendanta**, po zniżonej cenie może być nabywane z opłatą za tom kop. 60. Dotąd wyszło ich 16. We wszystkich mieszczących się w nich opowiadaniach widnieje szczery, niewymuszony, prawdziwie staropolski humor, z ową wrodzoną nam dobrodusznością, nader zręcznie przedstawioną.

Adres: Do **J. K. Gregorowicza**, w Warszawie przy ulicy **Chmielnej** Nr **26.**

RUCH LITERACKI

W HISZPANII.

PRZEZ

Sewerynę Duchińską.

Gdy naród z długiego zbudzony uśpienia, rzuci się z całą energią do pracy umysłowej, żadna siła powstrzymać go nie może. Czuje on ten nieprzeparty prąd, potężnie wyrażony przez Brodzińskiego słowami, które Bohdan Zaleski, obrał sobie za godło w chwilach najwyższej twórczości poetycznej.

Trzaskajcie gromy zgubnemi,
Pioruny niebios i ziemi,
Oka nie zwrócę od księgi!

Słowa te przyszły nam na myśl, gdyśmy w jednym z hiszpańskich przeglądów, czytali obraz ruchu literackiego w roku 1885. Nawał klęsk, począwszy od tych rozszalałych żywiołów, co wstrząsły ziemią w posadach i pokryły ją zwaliskami, do okropnej cholery co zdziesiątkowała biedną ludność do śmierci króla Alfonsa i wynikłego ztąd zamętu, nawał klęsk, powtarzamy, sypał się na Hiszpanią, w owym roku straszliwym, a przecież ruch umysłowy nietylko, że nie ustał, ale objawił się z większą niż kiedykolwiek potęgą. Widzimy to w różnych działach literatury, tak w poezyi jak w powieściopisarstwie, tak w dramacie jak w badaniach naukowych, szczególniej zaś w historyi. Niesłychana ciekawość ogarnęła umysł Hiszpanów, przypomnieli sobie, że posiadają w Salamance, w Eskuryalu, w Walencyi i w Toledo, ogromne księgozbiory, a w nich skarby nieznane całkiem światu. I otóż, jakby na dane hasło, zawiązują się po prowincyach towarzystwa, wydobywają stosy manuskryptów z pod prochu i pleśni wiekowej. W ślad za rozbudzeniem umysłów, budzi się ruch księgar-

skawiz, iązują się spółki, mnożą pomnikowe wydawnictwa. Niektóre z nich błyszczą artystycznym przepychem. Do tych należy wielka illustrowana publikacya pod tytułem „Hiszpania i jej pomniki". Wydane zeszyty obejmują: Kordubę, Katalonią, Asturyą i Leon; miasta Madryt, Salamankę, Walladolid, Segowią, Grenadę, Sewillę, Kadyx i t. d. całe dzieło obejmie dwadzieścia tomów.

Zbudzony naród zwraca się ku minionym wiekom, tam czerpie otuchę w dalszym rozwoju. Owóż historya Hiszpanii, nietylko, że przypomina czasy dawnej chwały, ale przedstawia badaczom mnóstwo ważnych zagadnień. Jedność hiszpańska, utworzyła się późno, z wielkim trudem. Dom Austryacki nie mógł spełnić ostatecznie dzieła niwelacyi, nie mógł do szczętu zniweczyć swobód prowincyonalnych; niektóre z nich przetrwały mimo wymierzanych pocisków. Burbony wstąpiwszy na tron hiszpański, poszanowaniem owych przywilejów miejscowych, (*pueros*) zjednali sobie popularność. Każda też prowincya hiszpańska ma własną historyą, którą słusznie się chlubi. W kilku z nich, mianowicie w Walencyi i Katalonii, powstały towarzystwa archeologiczne i literackie, które przynoszą niemały plon, do historyi wspólnej ojczyzny.

Niepodobna wyliczyć nam wszystkich dzieł historycznych jakie się pojawiły w roku 1885. Liczba ich nadzwyczaj wielka. Najskrzętniejszy pracownik na tem polu, Cezareo Fernandez Duro, wydał historyą niezwyciężonej armady, oraz ciekawe badania nad Krysztofem Kolumbem.

Do tego dzieła dał pobudkę żywy spór między akademią madrycką a hrabiną Ronssly, o miejsce gdzie spoczywają zwłoki słynnego żeglarza Genueńskiego. Akademia utrzymuje prawa Hawanny, Ronssly obstaje za San Domingo. Spór przyszedł do takiej zaciętości, że akademia oddała rzecz pod sąd Fernanda Duro. Ztąd powstało dzieło które Madryt, gorącemi obsypał poklaskami, dowodzące, że Kolumb spoczywa w Hawannie.

Żywy ruch panuje również na polu pięknej literatury. Klęski publiczne nie ostudziły werwy poetów, dramaturgów i powieściopisarzy.

Echegaray wzbogacił scenę pysznym dramatem p. t. „Vita alegra y muerle triste" (Życie wesołe i smutna śmierć). Przedmiot zaczerpnięty z życia dzisiejszego. W szeregu scen przeprowadzonych z nieprzebłaganą loiką, znajdujemy konkluzyą zawartą w bajce Krasickiego:

Miłe złego początki, lecz koniec żałosny!

Powieściopisarze hiszpańscy ulegli wpływom realistycznej szkoły francuzkiej, lecz odrzucili z niej niesmaczny trywializm. Dalecy od zasady sztuka dla sztuki, przeprowadzają zazwyczaj myśl moralną. Najpierwszy z nich Perez Gal dos, w powieści pod tytułem: Owoc zakazany, odmalował zgubny wpływ zbytków, na obyczaje i spokój życia rodzinnego. Armando Valdez, w szeregu obrazów, odszkicował wiernie życie domowe i społeczne w Hiszpanii.

Pełna talentu autorka, pani Emilia Bazan, ukazuje rany i zacięte walki serc niewieścich, bohaterki jej wychodzą jednak zwycięzko z próby, deską zbawienia dla nich, głębokie uczucie religijne.

Słowem powieść hiszpańska rozwija się krzepko i zdrowo, na gruncie czysto narodowym.

Poeci przynoszą także niemałą wiązkę do ogólnego zbioru. Campoamor i Selgas stoją na czele młodej a licznej plejady.

W roku ubiegłym pojawił się nowy zwrot w literaturze, wiele obiecujący na przyszłość. Chciwi nowych pobudek autorowie, zwrócili się do owych tradycyi ludowych, które wielki nasz poeta nazwał arką przymierza pomiędzy dawnemi a przyszłemi laty. Z tej żywej krynicy, czerpią natchnienie do obrazów pełnych swojskiej barwy i woni. Do takich należą wydane w tym roku powiastki. Katalońskie, powiastki z mojej wioski. Legendy z Galicyi, Powieści z Alkuntary, Legendy maurytańskie i wiele innych.

Do rozkwitu literatury w Hiszpanii, przyczynia się wielce zwiększona w dwójnasób liczba czytelników. Dawniej mężczyźni sami brali udział w ruchu umysłowym, sami tylko pisali i czytywali książki. Dziś nastąpiła radykalna zmiana w obyczajach, kobiety otrząsły się z odwiecznego zastoju, zasmakowały w nauce, rzuciły się żarliwie do czytania. Kilka z nich pochwyciło za pióra, inne chwytają z zapałem nowe książki, przeglądy i dzienniki. Tak rozszerzone koło czytających, staje się dla autorów pobudką do coraz nowych wysileń i coraz wyższego polotu.

(*Dokończenie nastąpi.*)

DZIWNY KWIAT.

Zdala od zgubnych wpływów, gdzie w sztucznym porywie
Egzotyczne rośliny wdzięczą swe przymioty,
Kwiat pamięci zakwita na duchowej niwie
Skromny i cichy.

Z dziwnych barw żywot jego splata się misternie:
Róż zapach jest mu zgubą, promień słońca skonem,
A krzewi się gdzie sercem zawładną zranionem
Chmury i ciernie.

Gdy burza postrach szerzy, gdy wrzą huragany
On wtedy nowej siły i wdzięków nabiera,
A gdzie zdrojem pogody tryska atmosfera,
Schnie zapomniany.

W mem sercu kwiat pamięci blasków nieświadomy
Wzrasta, w mroki przeszłości wpatrzony ciekawie,
A za to ciernie, chmury, zawieje i gromy
Ja błogosławię!

Emilia.

MICHAŁ DUNIAK.

NOWELKA

Maryi Konopnickiej.

(Dalszy ciąg.)

Pod kowalową strzechą jaskółka ulepiła gniazdko, a wkrótce na brzeżku jego gładkim, okrągłym, miękko wytłoczonym piersią matczyną, ukazały się trzy żółte, roztwarte dziobki, przedmiot podziwu chłopców od szewca, którzy przystawali przypatrując im się, ilekroć, bez niebezpieczeństwa oberwania pocięglem po grzbiecie, udało im się obrócić drogę na kuźnią. Stara jaskółka bywała wtedy niespokojna bardzo i z głośnym krzykiem padała piersią na gniazdko, otulając je dwojgiem skrzydeł czarnych, przed pożądliwym wzrokiem adeptów kunsztu szewckiego, którzy niezadowoleni z takiej przerwy ciekawego widowiska, starali się spłoszyć biedną ptaszynę klaskaniem, gwizdaniem i rzucaniem mniej lub więcej szczęśliwem, grudką ziemi i błota.

Trafiona jaskółka zrywała się wówczas, a opisawszy w powietrzu błyskawiczne kółko, padała znów cała drżąca, bez tchu prawie na gniazdko, otworzywszy zaś dziobek czarny, zwracała się do napastników, sycząc i trzepiąc skrzydłami. To rozdrażnienie bezbronnej ptaszyny, wywoływało zwykle głośne wybuchy śmiechu pomiędzy chłopcami i pobudzało ich do nowych napaści. Otóż, zdarzyło się, że Kasia przechodząc koło kuźni, zatrzymała się w pośród gromadki dzieci i przypatrywać się poczęła tej nierównej ze wszech miar walce; ale zaledwie wlepiła w gniazdko siwe swoje oczy, powiał wiatr niespodziany i przeniósł je na ziemię z pod strzechy. Chłopcy od szewca rzucili się na zdobycz, tak jak ludzie zwykli się rzucać na każdą rzecz upadłą, bez litości, ze śmiechem, zhałasem. A gdy przeminął zachwyt posiadania trzech, bardzo brzydkich, nagich jeszcze, z ogromnemi głowami, piskląt, przypomniano sobie Kasię i osądzono, że to jej oczy uroczne spowodowały upadek gniazdeczka.

— Popatrzyła i już, mówili chłopaki, obchodząc ją dokoła ciekawie i trwożnie i każdy z nich poniósł z sobą do domu wrażenie przypadku, który w opowiadaniu nabrał wszystkich cech, cudownych wydarzeń i żywo przypomniał starszym prorocze przepowiednie Błażkowej.

Ktoś z sąsiadów wspomniał o tem Pawłowi; ale rybak pochwycił w garść i spojrzał na mówiącego tak, że tamten cofnąwszy się dyplomatycznie, oparł się dopiero u własnego płotu. Odtąd jednakże, dzieci z miasteczka, przestrzeżone zapewne przez trwożliwe matki, poczęły unikać Kasi, a gdy dziewczka pytała czemu z nią bawić się nie chcą, rówieśnica jej zezowata stolarzanka odpowiedziała z przekąsem:

— Matusia powiadają, że ty masz złe oczy.

Kasia zawstydziła się i zaczerwieniwszy się mocno, spuściła ku ziemi śliczne swoje, długiemi rzęsami ocienione źrenice, a postawszy tak chwilę i czując napływające do nich łzy gorące, zwróciła się i zwolna poszła ku domowi. A za nią leciał szyderczy, niemiłosierny śmiech dzieci.

Dnia tego wieczorem Kasia zapytała ojca:

— Powiedzcie mi, tatuńciu, co to są złe oczy?

Rybak przypomniał sobie zaczepkę sąsiada.

— Kto ci to powiedział? — krzyknął zrywając się w ognistych łunach cały.

— A to dzieci powiadają, że ja mam złe oczy.

Paweł wstrząsnął dziewczynę za ramię.

— To jest kłamstwo! słyszysz, to jest kłamstwo — zawołał wściekły — a ty mi do dzieci obcych nie chodź, przy domu, tu siedź, rozumiesz?

Kasi z bólu i ze strachu łzy po twarzyczce pobiegły, otarłszy je ukradkiem, ojca za nogi chwyciła, dziękując, a potem cichutko w kąt poszła i łykając łzy nieproszone, zabrała się do skrobania ziemniaków na wieczerzę. Paweł z podełba poglądał na nią, siedząc zadumany na ławie. A gdy powieczerzali i dziewczyna spać się już układała, zbliżył się do niej, spiącą w oczy lekko pocałował,

a otarłszy rękawem łzę gorzką, westchnął ścicha: „Oj biednaż ty, biedna sierota!"

Tak tedy Kasi, odepchniętej przez dziatwę miasteczka, pozostał tylko jeden towarzysz zabaw, kudłaty Burek, z którym dziewczyna dzieliła obiad swój i wieczerzę. Zabawy te jednak ograniczały się z konieczności, na bieganiu po podwórku, lub po izbie. Gdy ojciec na rzece był lub zadumał się smutnie, jakto zwyczajem mu się stawało, Kasia nie miała do kogo przemówić słowa.

Jakże chętnie byłaby pogadała nieraz z Urielem, synem farbiarza Goebla, który był jedyną istotą ludzką, nieprześladującą jej nigdy.

Nie śmiała jednak zaczepić go jakoś.

Chłopiec był piękny, parę lat zaledwie od niej starszy, lecz milczący i smutny, jak nieraz bywają dzieci tego ludu, w najpierwszej młodości swojej, póki im życie nie obudzi duszy, śniącej w jakiejś bezwiednej zadumie, o niedolach wiekowych wzgardzonego tak długo plemienia swojego.

Z chajdery, którą ukończył świeżo, wyniósł myśl zamgloną, skłonną do marzeń, roztęsknioną proroctwami do jakiejś nieznanej przyszłości i nawyknienie do śpiewnej, zawodzącej jakoby mowy. W domu jedynakiem był, nienaganianym do pracy żadnej, a wychowany przez matkę, która go osierociła wcześnie, lgnął do ludzi sercem potrzebującem cieplejszego uczucia i otoczenia, niż je znajdował w farbiarni, gdzie stary Goebel cały oddany faskom swoim i cebrzykom, potrzeby takiej ani sam doznawał, ani ją u syna pojmował.

Uriel lubił cichą, spokojną dziewczynę rybaka.

Prostota serc i samotność przyciągała ich wzajemnie; nie było nikogo, ktoby rozdmuchiwał w ich młodych piersiach te wstręty i nienawiści rasowe, które w takich właśnie społecznych nizinach, gdzie ich nie łagodzi żadna wspólność pojęć, dążeń i celów, występują zwykle w najbardziej szorstkich, odpychających się wzajemnie przejawach. Ot poprostu, nie było pomiędzy niemi nikogo, ktoby im mówił: Nie gadaj do niego, bo to żyd; nie patrz na nią, bo to córka goja.

Morze łez i krwi dzielące ludy i rasy nie istniało dla nich.

Zrazu siadywali sobie cicho, każde na swoim progu, słuchając w milczeniu, jak huczał młyn na Czekaju, jak las szumiał na Majdanach za rzeką, jak przewoźnicy nawoływali się z promów, jak psy szczekały, lub bocian klekotał.

Wkrótce jednak, Kasia ośmieliwszy się, zagadała do chłopca raz i drugi, a że im szum rzeki przeszkadzał w rozmowie, zeszli się u przełazka, przy płocie łączącym obie zagrody.

Tutaj to dziewczyna opowiedziała Urielowi, jako jej tatuńcio do dzieci chodzić nie da; jako i dzieci bawić się z nią nie chcą i mówią, że ona ma złe oczy.

— Może to ono tak i jest! — dodała zamyśliwszy się smutnie.

W istocie, te oczy, które, lubo dziecięce jeszcze, tyle już łez wylać musiały, jej samej wydawały się nieraz już „złemi".

— Może tak jest... — powtórzyła, podnosząc na chłopca trwożliwe, jakby spłoszone niezwykłej piękności źrenice.

Uryel popatrzył w nie długo, i jemu wydały się czegoś straszne, te głębokie, przejrzyste jak rzeka oczy. Nie odrzekł jednak nic, żeby dziewczyny nie martwić. Zagadał o czem innem, rozśmiał się i dziewczę poweselało jakoś. Odtąd jednakże, ciągnęła go do niej dziwna ciekawość. Czuł się podrażnionym tem niebezpieczeństwem tajemniczem, nieznanem, które mu groziło tak zblizka, a które on miał dość odwagi wyzywać niejako. Przychodził do przełazka wzruszony, niespokojny i patrzał, patrzał, patrzał i napatrzyć się oczu tych nie mógł. Dziewczyna, szczebiocząc z nim, grządki swoje pełła, króliki karmiła, ziemniaki skrobała, a wszystko szło raźniej jakoś i weselej. Nie była już samą. Burek tylko, widząc się zaniedbanym teraz, warczał za zbliżeniem się chłopca, póki go Kasia nie uciszyła, głaszcząc po łbie kudłatym, śniadą swoją, opaloną rączką.

Tak minęły dwa lata, dwie zimy i znów przyszła wiosna. Kasia, pietnastoletnia już wówczas dziewczyna, wyrosła i rozkwitła pięknością niezwykłą, jak dziki kwiat leśny. I chociaż śliczne jej włosy okrywała tylko mizerna chusteczka, chociaż na święto miała jedyną, spłowiałą, perkalową sukienczynę, a na codzień lichy modraczek, to jednak, kiedy otworzyła świeże, czerwone usta, na których uśmiech, jak motyl złoty siadywał; kiedy podniosła oczy swoje przejrzyste i zawiodła jedną z tych piosnek, które na polach naszych skowronki gubią w przelocie, Kasia była tak piękną, tak wiosennie powabną, że patrząc na nią, mimowoli przypomnieć było można zasłyszane kiedyś baśnie o zaklętej królewnie. Uriel po dawnemu patrzał na nią z dziwem, a gdy znikła w progu chaty, stał jeszcze i widział ją przed sobą, migającą mu, jak mgiełka w błękitnem, wiosennem powietrzu. Źrenice jego nauczyły się, chodząc za nią ciągle, odtwarzać obraz jej, gdy jej już nie było. Widocznie, urok rzuciła na niego.

Pewnego czerwcowego wieczora, Kasia piorąc chusty, stała u rzeki na kamieniu, w krótkiej spódniczynie, bijąc z całych sił swoich kijanką, grubą odzież rybacką starego Pawła.

Wtem, na przeciwległym brzegu rozległa się chrypliwa piosenka stelmacha Kałużnego, znanego pijaka, który sobie pod wieczór korbelki na raki zastawił.

Dziewczyna podniosła głowę i słuchała, przestawszy uderzać kijanką. Że jednak uderzenia te stelmachowi taktu dodawały, spostrzegł wnet przerwę i spojrzał w stronę, zkąd dolatywały go poprzednio. Ujrzawszy Kasię, splunął z gniewem i rzekł:

— Na psa urok! a czegóżeś się ty na mnie tak wpatrzyła, wiedźmo ty jakaś? Dyabli nadali! Nic już z moich raków nie będzie!

Mówiąc to, szarpnął się gniewnie; a że już pod zwykłą swoją miarę w głowie miał, tak nieszczęśliwie się zatoczył, że w wodę wpadł i tonąć już począł.

Krzyknęła przenikliwie strwożona Kasia; ludzie się zbiegli ratować i wkrótce wydobyto Kałużnego, który przyszedłszy nieco do siebie, zbielałe oczy podniósł na brzeg przeciwny, gdzie struchlała Kasia stała, załamawszy ręce, i począł bełkotać gniewnie:

— A to ta przeklęta dziewka Duniaka, wypatrzyła mi ten trafunek temi swemi powietrznemi oczami...

Przed szumem rzeki, Kasia słów tych dosłyszeć nie mogła; lecz zobaczywszy kilka wzniesionych, grożących jej pięści, rzuciła się z krzykiem do chaty, drzwi na skobelek zaparła i gorzko płakać zaczęła, przytuliwszy się w kącie.

Ojca nie było pod ten czas w chacie.

Skuloną tak i płaczącą, zastał ją Uriel, który z miasteczka wracał, a nie widząc dzieweczęcia ani u rzeki, gdzie ją zostawił, ani na podwórku, niespokojny do okienka szedł patrzyć, co się z nią stało.

Zobaczywszy go, dziewczyna szybko otarła oczy.

— Czegóż ty płaczesz, Kasiu? — zapytał chłopiec.

— A czegóżbym płakała, jak nie tej złej doli mojej, z temi oczami... Kałużny do wody wpadł i tyle... a teraz się odgrażają... bić może będą!... a tatuńcia nie ma!

Chłopiec, słysząc to, zafrasował się mocno. A jednak, wyznać trzeba, że uczuł pewne zadowolenie na myśl, że może mu dziewczyny bronić wypadnie.

Od okna przeszedł do drzwi, obejrzał skobelek, zamknął, zastawił ławą; sam zaś, ująwszy kij starego Pawła, przy oknie stanął, czekając napaści. Kasi tymczasem polecił siedzieć na zapiecku, w najbezpieczniejszem, jak mu się zdawało, miejscu.

Podczas tych przygotowań do obrony, mówili z sobą półsłówkami, ścicha; jak mówią ci, którym zagraża wielkie i blizkie niebezpieczeństwo. Kasia płakać przestała, Uriel oczekiwał napastników z bijącem od zmieszanych wzruszeń sercem. Była tam i obawa i duma i budząca się w nim bujność zuchwała, młodzieńcza. Tak minęła godzina, mniej może. Heroiczne to jednak usposobienie bohaterów naszych na nic się tym razem nie zdało, gromadka bowiem ratujących rozeszła się powoli do domów, a ci, co najzawzięciej Kasi wygrażali, razem z Kałużnym pociągnęli do narożnego szynczku na rozgrzewkę. Gdy znikli, Uriel westchnął głęboko. Było to może odetchnienie ulgi pełne dla ścieśnionych niepokojem piersi, a może westchnienie żalu, że nie mógł okazać, jaki to on mocny, jak on niczego się nie boi, jak on to Kasię obronić potrafi.

— Odeszli—szepnął, zawiedziony jakby, dziewczynie.

Kasia zeskoczyła z zapiecka, niespokojna o chusty swoje.

Otworzyli drzwi, popatrzyli, nie było nikogo.

Uriel jednak dziewczyny samej puścić nie chciał, do rzeki ją podprowadził, a gdy Kasia zabrawszy grube ojca koszule, do chaty wróciła, na płocie siadł i nieprędzej ze stanowiska obranego zeszedł, aż ujrzał podpływającego z siećmi Pawła Duniaka.

Rybak stary powrócił zły czegoś, zgryziony i dlatego to zapewne, Kasia o całem owem zajściu nie wspomniała nic, a tajemnica ta wspólna, ściślej jeszcze połączyła dwie młode istoty, tak wyjątkowo zbliżone do siebie osamotnieniem i jakby fatalnością jakąś.

Zażyłość z musu, stała się wkrótce zażyłością z wyboru.

Tak przeszło kilka miesięcy.

Tymczasem farbiarnia się rozwijała tak pomyślnie, że stary Joś Goebel nie mogąc robocie nadążyć sam, a nie chcąc przymusu czynić jedynakowi, którego zajęcie to nie pociągało jakoś, przyjął na gody parobka, rudego Franka z Czekaja, który lubo szpetny jak szatan, kosooki i przez ospę podziobany jak sito, do roboty tęgo się brał i nie robił sobie z tego skrupułu, że „u żyda służy", co w miasteczku uważanem było dotychczas za coś jakby wzgardliwego.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TEODORA
KOMEDYANTKA I IMPERATOROWA.

DRAMAT HISTORYCZNY W 5 AKTACH.

PRZEZ

Watts Phillips, Esquir.

PRZEKŁAD

J. B.

(Dalszy ciąg.)

AKT DRUGI.

Obóz.

(Za podniesieniem kortyny widać obóz, naprzeciwko szańców Kartaginy; bramę Słonia, przez którą szereg stopni prowadzi do miasta. W perspektywie wznosi się miasto, jego świątynie, tarasy i złocone kopuły. Tarasy zasadzone drzewami. Na scenie kilkanaście namiotów z bogatych materyi i skór tygrysich. Namiot Kreona stoi na lewo. Przepych wpół barbarzyński. W oddali widać morze pokryte galarami; na niektóre z wybrzeża ładują towary. Bardzo daleko, z drugiej strony portu, masa namiotów wskazująca obozowisko wojska, jak okiem dojrzeć sięgające w daleką pustynię. Za podniesieniem kortyny słychać wojenną muzykę i zgiełk żołnierzy wszelkiej narodowości. Rzymianie zbrojni w złoconą stal; Grecy-noszą ubiór zniewieściały, Egipcyanie i murzyni w zbrojach zdobnych ciężkiemi ozdobami miedzianemi, hałaśliwie wpadają na scenę. Wśród nich odznacza się Narses i Atalaryk. Narses jest to niemłody, siwiejący żołnierz; ma na głowie kask stalowy, na sobie koszulkę żelazną w oczka, ze skórzanemi rękawami, nogi od kolan do kostek opancerzone skórą z żelaznemi klamrami. Od pasa spada zawieszone narzędzie puszkarskie; na ramię zarzucona siekiera. Atalaryk, Got ogromnego wzrostu, ma włosy rude, napancerzu zarzuconą skórę niedźwiedzią, której łapy krzyżują się na jego piersiach, łeb zaś zachodzi na kask z pod którego wysuwają się złote włosy. Zacałe uzbrojenie ma ogromny topór z polerowanej stali.)

NARSES. A więc powrót do Konstantynopola oddawna już nie słyszałem tak dobrej wiadomości. Ale czy tylko pewnym jesteś, kapitanie, że moje nazwisko jest zamieszczone na tej liście?

ATALARYK. Jak najpewniejszym. Jako puszkarz i kowal, masz czuwać nad więźniami, to jest nad ich kajdanami.

NARSES. Sam już zamierzałem porzucić tę przeklętą Afrykę. Puszcza ziejąca ogniem, ołowiane niebo, słońce tak strasznie dopiekające... Uf! (Wskazując na przechodzącego murzyna.) Tylko taki czarny może oddychać tu swobodnie.

ATALARYK. Zdobycz ma być oddana do skarbu cesarskiego a pojmany król rzucony do stóp jego tronu.

NARSES. Do stóp jego tronu! Chcesz zapewne powiedzieć do stóp Teodory.

ATALARYK. A! jako piękna kobieta, Teodora jest nieporównana. Przysięgam na niebieskie oczy Frei, że od czasu opuszczenia naszych krain Północy, nie widziałem równie wspaniałej piękności.

NARSES. Hum! różne są gusta.

ATALARYK (z zapałem). Wasza cesarzowa stworzona na królowę.

NARSES. Stworzona na królowę! (Śmieje się szydersko, poczem rozejrzawszy się wkoło, przysuwa się do Atalaryka.) Pozwól, kolego, szepnąć sobie słówko do ucha. Cóż powiesz na to, że ja, Narses, biedny puszkarz-kowal, widziałem tę istotę, jak mówisz stworzoną na królowę, skaczącą na kolanach dobrego mego towarzysza i przyjaciela, Akacyusza, woźnicy i dozorcy niedźwiedzi.

ATALARYK. Jakiż związek mógł zachodzić między nimi?

NARSES. Bardzo blizki. (Uderzając go po ramieniu.) Akacyusz był jej ojcem. (Śmiejąc się z jego osłupienia.) Ojcem cesarzowej Teodory!

(Podczas tej rozmowy, żołnierze przybywają i rozchodzą się po scenie; wśród nich widać kobietę osłoniętą płaszczem. Nasłuchując wolno przechodzi scenę i gdy Narses śmieje się jeszcze, staje między nim a Atalarykiem. Wtedy rozsuwając płaszcz, ukazuje twarz Miriamy, bardzo pobladłą i postarzałą od czasu pierwszego aktu. Ma na sobie strój dziwnego kroju, z ciemnego aksamitu. Z pod złotej obręczy, opasującej jej głowę, spada długi, czarny, gazowy welon, w złote gwiazdy. Ręce do ramion obnażone.)

MIRIAM (pogardliwie). Czy Narsesowi cięży życie, że tak popuszcza wodze swemu językowi.

NARSES (przestraszony). Miriam czarownica! (Głośno i oburkliwie.) Nie jest to przecież kłamstwo tchnące zdradą.

MIRIAM. Za prawdę karzą często, równie surowo jak za zdradę. (Gdy Narses chce iść za Atalarykiem, który zbliżył się do gromadki żołnierzy, zatrzymuje go rozkazującem skinieniem.) Czekaj! jesteś mi potrzebny.

NARSES (z widoczną niechęcią). Muszę iść do portu; towarzyszę więźniom kartagińskim do Konstantynopola.

MIRIAM. Aby tam w cięższe niż ich kajdany okutym zostać.

NARSES (żywo zbliżając się do niej). A toż za co, jeźli pytać wolno?

MIRIAM! Jak dawno miało tam miejsce owe wielkie zaburzenie w cyrku?

NARSES. Będzie temu coś lat dziewiętnaście.

MIRIAM. Tak, rzeczywiście. I czy myślisz, że Teodora, cesarzowa, zapomniała jakie niebezpieczeństwo groziło wtedy Teodorze Tancerce?

NARSES (zaniepokojony). Mogęż myśléć, aby orzeł chciał się zniżać po tak marną zdobycz, jak nędzny robak pełzający po ziemi?

MIRIAM. Jeźli będziesz mi ślepo posłuszny, nietylko przeszłość zostanie zapomnianą, ale nadto obecne usługi hojnie będą opłacone.

NARSES (wahająco). Lecz jestżeś w możności dotrzymania tego co obiecujesz?

MIRIAM. Patrz i osądź sam. (Wysuwa rękę, pokazując na palcu pierścień)

NARSES (zadziwiony odkrywa głowę). Pieczęć cesarska!

MIRIAM (krótko i nakazująco). Gdzie jest Kreon?

NARSES (służalczo, sprzecznie ze zwykłą sobie gburowatością). Jest w swoim namiocie. (Wskazuje palcem.) Ze swoim przyjacielem, kapitanam Hieraxem.

MIRIAM. A gdzie syn jego, Filip?

NARSES (wskazując inny namiot). Piją zaszczęśliwą podróż kilku przyjaciół odjeżdżających do Konstantynopola.

MIRIAM (po chwili namysłu z rozkazującem ruchem). Idź; czekaj na mnie w porcie. Bądź ostrożny, a wszystko będzie dobrze.

NARSES (kłania się z uszanowaniem). Na Jowisza! nie ośmielę się sprzeciwiać, mającej pieczęć cesarską!

MIRIAM (która podeszła na scenę, zbliża się do namiotu Kreona, pochylając się jak osoba chcąca podsłuchiwać.) Mówią o Filipie, o jego i *jej* synie, o którego istnieniu *ona* nic nie wie. Syn ten ma stać się narzędziem, za pomocą którego złamię dwa serca. (Przechodząc scenę.) Dziewiętnaście lat dziewiętnaście lat!... ah! zemsta umie być cierpliwą, jeźli jest pewna siebie!...

(Z namiotu słychać śpiew.)
(Słychać wesołe wybuchy śmiechu i szczęk szklanek.

MIRIAM. Tak wesołe pożegnanie, wcale nie w porę.

(Nagle podnoszą się zasłony z lewej strony namiotu i można widzieć jego wnętrze. Grono młodych oficerów, na wpół zbrojnych w złoconą stal, bardzo wesołych, siedzą około stołu, na którym widać jeszcze resztki uczty. W środku siedzi młody Filip; fizyognomia jego tchnie odwagą i szczerością. Chwytają puhary i wchodzą na scenę, śpiewając.)
(Stają rzędem i śpiewając trącają kielichy.)
(Śmiejąc się wesoło, otaczają Filipa; Miriam cofnęła się, ukrywając się na wpół w fałdach namiotu Kreona.)

PIERWSZY OFICER. Może to ostatni spełniam już kielich, ale szczerze mi cię żal, Filipie, że zniewolony jesteś pozostać na tej spieczonej od słońca ziemi, jedynie właściwego miejsca pobytu, dla lwów i wielbłądów.

DRUGI OFICER. Nic nie widział, kto nie widział Konstantynopola.

PIERWSZY OFICER. Wspaniałości cesarza.

DRUGI OFICER. Piękności cesarzowej.

FILIP. Wspaniałość i przepych otaczający go, cesarz zawdzięcza nam żołnierzom, a cesarzowej wcale nie pragnę oglądać. W mojem przekonaniu nie chlubić ale wstydzić nam się tego potrzeba, że cesarz i świat cały zależą od kaprysu jednej kobiety.

PIERWSZY OFICER. Filipie! Filipie, strzeż się!

(Oficerowie odsuwają się o kilka kroków, zostawiając go w środku.)

FILIP. Kogo? Teodory?... Nie cenię tak bardzo życia, abym go miał okupywać ceną poniżającego pochlebstwa. Wolałbym raczej zamieszkać w nędznym szałasie na pustyni i żyć tam chlebem i daktylami jak zakonnicy Tebaidy, niż korzyć się przed takim tronem.

MIRIAM (na stronie). Dzielny młodzian, ale trochę zapaleniec.

PIERWSZY OFICER (ujmując jego rękę). Pomyśl o ojcu twoim, Filipie.

FILIP (z wzrastającem oburzeniem). Myślę o nim i nie zapominam o niczem. Jeźli mnie nie oszukano, to dla jednéj cyrkowéj baletnicy, ojciec mój utracił zarząd Pentapol. (Przyjaciele jego, coraz więcej przerażeni, odsuwają się od niego, rozglądając

się wokoło. Filip zmieniając ton mowy, mówi wesoło.) Czas nagli, więc idziemy do portu? (Oficerowie rozpraszają się, Filip przechodzi scenę.) Dziwna potęga imienia, od której bledną czoła dzielnych oficerów... Dzięki niebu od nikogo nie potrzebuję oczekiwać spełnienia skromnych pragnień moich. (Zwraca się ku namiotowi Kreona, Miriam ujmuje go za rękę.)

MIRIAM. Czyż wszystkie już urzeczywistnione?

FILIP (na stronie). Znowu ta kobieta!

MIRIAM. Wszakże masz matkę?

FILIP (zamyślony). Miałem matkę, ale ta umarła zanim dziecinny wzrok mój zdołał rysy jej wyryć w mej pamięci. (Zatrzymując ją szorstko.) Ale ty mówisz mi o tem? Wyrażasz się stylem swego rzemiosła i byleby zyskać pożądaną sztukę złota, nie troszczysz się, że boleśnie zadraśniesz serce. (Rzuca jej sztukę złota i chce ją ominąć i odejść ale Miriam zatrzymuje go nagłym ruchem.)

MIRIAM. Podnieś sobie swoje złoto, jam nie stworzona do żebraniny i jałmużny. (Filip chce wysunąć rękę.) Kreon oszukał cię, Filipie, matka twoja żyje!

FILIP (rzucając się jak wąż). Kobieto!

MIRIAM. Czy chcesz ją odnaleźć?

FILIP. Matkę moją?

MIRIAM. Tak, ona cię oczekuje.

FILIP. Gdzie?

MIRIAM. W Konstantynopolu. (Na stronie, wielkiemi krokami przechadzając się po scenie, podczas gdy Filip stoi jakby piorunem rażony.) Za godzinę odpłynie udający się tam statek. (Odchodzi.)

(Rozsuwają się kortyny namiotu Kreona; wychodzi z niego Kreon z Hieraxem. Obaj w półzbrojach ze złoconej stali. Obydwa bardzo postarzeli. Włosy i broda Kreona są siwe, twarz poważna i zakłopotana.)

KREON (nie widząc Filipa). Bywaj zdrów dawny przyjacielu. (Wysuwa rękę, którą się opierał na ramieniu Hieraxa.) Twojej opiece polecam mojego Filipa; łatwiej mi będzie znosić wygnanie, gdy będę wiedzieć, że smutna moja dola nie przeszkodzi świetnej przyszłości syna mego.

HIERAX (przechodzi scenę, nie widząc Filipa). Wygnanie to może być złagodzone i może...

KREON. Nie łudź się tem, przyjacielu; zemsta występnej kobiety jest nieubłaganą. Hieraxie, powtarzam, tobie powierzam mego syna.

(Zamieniają silny uścisk dłoni, Hierax przyłącza się do grona w głębi, które pozdrawia Kreona. Tenże spogląda smutnie za odchodzącym i odwracając się znajduje się tuż wprost Filipa, który postąpił ku środkowi sceny.)

KREON (drgnął). Filip!

FILIP (czule). Ojcze mój!

KREON (usiłując się uspokoić). Szukałem ciebie. (Wchodzą na scenę.) Mam ci wiele do powiedzenia zanim odjedziesz.

FILIP. Gdzie?

KREON. Do Konstantynopola, z kapitanem Hierax.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O POJEDYNKACH.

Z powodu odbytego pojedynku generała Boluandjera z senatorem Lareinty, amerykański humorysta Marek Twain napisał bardzo dowcipną satyrę, do której za temat użył podobnego wypadku z roku 1877, kiedy Gambetta pojedynkował się z ministrem Fourton.

Skoro tylko, powiada p. Twain, usłyszałem o gorącej wymianie słów pomiędzy panami G. i F. w Izbie francuzkiej, natychmiast zrozumiałem, iż niebezpieczeństwo wisi w powietrzu. Nie czekałem już nawet na wizytę p. G., lecz wprost udałem się do niego. Tak, jakem się spodziewał, zastałem dzikiego męża w zupełnym francuzkim spokoju. Jeżeli mówię „francuzkim spokoju," to dla tego, iż spokój francuzki różni się na kilku punktach od spokoju angielskiego. Otóż rozbijał się on pośród szczątków, rozrzuconych na podłodze, odrzucając od czasu do czasu kopnięciem nogi zawadzający mu w wędrówce fragment szkła lub porcelany, zgrzytał zębami i ciskał przez nie przekleństwa; to znów zatrzymywał się, aby złożyć nową garść włosów do stosu, znajdującego się już na stole. Kiedym wszedł, zarzucił mi ramiona na plecy, przechylił się w tył i przeciągnął mnie po swoim brzuchu na piersi; następnie ucałował mnie w oba policzki, objął jeszcze ze cztery czy pięć razy i wcisnął energicznie moją osobę w swój fotel.

Jak tylko wypocząłem po tem powitaniu, przystąpiłem wprost do rzeczy.

— Przewiduję—rzekłem— iż życzysz pan sobie, abym był jego sekundantem.

— Oczywiście — odrzekł.

Najpierw sporządziliśmy tedy ostatnią wolę mojego przyjaciela, upierałem się przy tem i nie ustąpiłem. Następnie mój przyjaciel życzył sobie przygotować pewien wybór „ostatnich słów." Chciał np. wiedzieć, czy mi zaimponują następujące wyrazy, jako wybryk umierającego: „Umieram za mego Boga, za mój kraj, za wolność mowy, za postęp i powszechne braterstwo ludzi.

Powiedziałem mu, iż słowa powyższe będą wyborne w ustach suchotnika, lecz nie człowieka, który umiera na polu walki honorowej. Sprzeczaliśmy się jeszcze co do porządnej liczby innych wykrzykników dla umierających, wreszcie udało mi się jego ostatnie słowa skrócić do następujących, które zapisał sobie w notatce, celem wyuczenia się ich na pamięć: „Umieram, aby Francya żyła!"

Najbliższą teraz z kolei rzeczą był wybór broni. Mój przyjaciel powiedział jednak, iż czuje się trochę słabym i że w zupełności pozostawia mi ułożenie tego i reszty szczegółów pojedynku. Przesłałem więc sekundantowi p. Fourton następujący bilet:

„Szanowny Panie! P. G. przyjmuje wyzwanie p. F. i upoważnia mnie do uwiadomienia pana, iż wybraliśmy miejsce— Plessis Piquet, czas —jutro o świcie, jako broń zaś proponujemy — siekiery. Pozostaję z szacunkiem Marc Twain."

Przyjaciel p. F. przeczytał bilet i zadrżał; nareszcie zwrócił się do mnie i rzekł zupełnie seryo:

— Czyś się pan dobrze nad tem zastanowił, co musi być nieuniknionym rezultatem podobnego pojedynku?

— Najzupełniej... cóż np. za szczególne skutki miałyby nastąpić?

— Rozlew krwi!

— Istotnie, to jest prawie i moje zdanie — powiedziałem — lecz, jeśli wolno zapytać, co według propozycyi pańskiej miałoby być rozlane?

Teraz go złapałem, spostrzegł, iż był nieostrożnym i pragnął rzecz naprawić. On przecież (mówił) żartował tylko, zresztą i on i p. F. byliby nader szczęśliwi, iż mogą bić się z nami na siekiery, tylko, że taką broń wyłącza francuzki kodeks pojedynkowy.

Ja tymczasem chodziłem po pokoju i po pewnym namyśle proponowałem: armaty Gatlinga, dwie kalibrowe pojedynki, dubeltówki, a wreszcie rewolwery okrętowe Colta.

Ponieważ jednak wszystkie moje propozycye zostały odrzucone, więc z żartu rzuciłem jeszcze projekt, aby użyć za broń cegły na odległość trzech ćwierci mili.

Zawsze niechętnie używam żartu z osobami, które o humorze nie mają wyobrażenia i teraz napełniło mnie goryczą, gdy ów człowiek natychmiast wyszedł, aby zupełnie seryo przedstawić mój projekt swojemu przyjacielowi.

Po chwili wrócił jednak i powiedział, iż jakkolwiek p. F. zachwycony jest moim pomysłem, musi się jednak uchylić od przyjęcia takiej propozycyi z uwagi na niebezpieczeństwo, jakieby zagrażało przy tem spokojnym przechodniom.

Teraz ja powiedziałem z kolei:

— Nic już innego nie wymyślę. Może zatem pan zechce być tak dobrym i ze swojej strony broń zaproponuje.

Twarz mego interlokutora wyjaśniła się i wnet odpowiedział wesoło:

— Chętnie, chętnie, szanowny panie!

Mówiąc to, zaczął wypróżniać kieszenie, kieszeń po kieszeni, a miał ich liczbę niemałą i tylko mruczał od czasu do czasu:

— A gdzież się u dyabła podziały?

Nareszcie stanął u celu; wyłowił z kieszeni od kamizelki dwie malutkie drobnostki, w których, gdy je zaniósł do światła, poznałem parę pistoletów.

Były one pojedyncze, ozdobione srebrem, piękne, prawdziwe cacka.

Ze wzruszenia mówić już nie mogłem, zawiesiłem tylko, milcząc, jeden z nich na dewizce zegarka, a drugi zwróciłem.

Mój wspólnik w morderczej sprawie rozwinął znów markę pocztową, która zawierała kilka patronów i oddał mi także jeden.

Zapytałem go, czy tem chce powiedzieć, iż każdy z przeciwników tylko raz wystrzelić może? Odpowiedział mi, iż kodeks francuzki na więcej nie pozwala.

Dalej poprosiłem go, aby zaproponował już i odległość, gdyż czułem w głowie zamęt od tego wszystkiego. Zaprojektował więc 65 yardów.

— Sześćdziesiąt pięć yardów z tym instrumentem?! — zawołałem — a toż wiatrówki byłyby niebezpieczniejsze na odległość 50-ciu kroków. Pomyśl pan: mój przyjaciel, ja i pan przyszliśmy tu, aby jedno, a może dwa życia przeciąć, a nie po to, aby je na wieczność całą przedłużać.

Wszystkie jednak moje dowody, wszelkie przekonywania nie mogły go skłonić, aby odległość zmniejszyć po za 35 yardów, a nawet i to ostatnie ustępstwo zrobił z wielkim oporem, wzdychając i mówiąc:

— Jestem niewinny, umywam ręce, krew spadnie na pańską głowę!

Teraz nic mi już nie pozostawało, jak tylko pójść do domu i zakomunikować „Lwiemu sercu" — mojemu przyjacielowi — rezultat umowy.

Kiedym wszedł, p. G. składał właśnie ostatni pukiel włosów na ołtarzu spokoju.

Pobiegł naprzeciw mnie z okrzykiem:

— Więc już wszystko ułożone:

— Tak!

Zbladł i oparł się o stół, aby nie upaść. Oddychał przez kilka chwil, a potem zapytał szeptem:

— Broń? broń? Jaka broń? Prędko!

— Ta!

I pokazałem mu srebrem wykładane cacko.

On rzucił tylko jedno spojrzenie i upadł ciężko na ziemię.

Kiedy przyszedł do siebie, powiedział melancholijnie:

— Nienaturalny spokój, do którego się zmuszałem, zemścił się na moich nerwach; lecz precz ze słabością! Chcę śmiało, jak mąż oczekiwać na spełnienie przeznaczenia. We mnie niech ujrzy świat, jak idzie rycerstwo Francyi naprzeciw grożącej, śmierci."

TEATR.

Klara Soleil, komedya w 3 ch aktach E. Gondineta.

W sztuce tej tyle jest zawiłości, niespodzianek, awanturek i wypadeczków, że przysłuchując się przedstawieniu, dziwić się koniecznie trzeba plątaninie tego, jak zręcznym popisom akrobatów co człowiekowi aż w głowie się kręci i mimowoli przychodzi do myśli pytanie, jakim sposobem spełnić to można na co się patrzy. W sztuce tej może jest trochę przesady, ale za to wiele wesołości, dowcipu, zawikłania śmiesznego, a przedewszystkiem nie ma karykatur tylko wytknięte śmieszności ludzkie co zapewnia sztuce wszelkie warunki, aby uznana za dobrą, mogła ściągać liczne tłumy na przedstawienie.

Rzecz dzieje się w różnych miejscach. Pan Duplantier człowiek przeżyty i zniszczony, wierny żonie z konieczności, i p. Bawolet młody, w żonie zakochany, niezazdrosny, przyjaźnią się z sobą. Przyjechawszy do Avignonu idą na zapowiedziany koncert Klary Soleil, śpiewaczki operetkowej, porywającej publiczność piosnką o chrabąszczu. Słabej głowy tak Duplantier jak i jego żona, zachwyceni piosnką słyszaną, powtarzają ją państwu Bavolet i gdy małżonek podziela zapał swoich przyjaciół, pani Bavolet przeciwnie jako wychowana w klasztorze, oburza się na śpiewkę i jak to mówią, jednej całej nitki nie zostawia na sławie utalentowanej artystki. Klara Soleil dowiaduje się o tem, biegnie do mieszkania Bavoletów, i nie zastawszy jej w domu, gdyż wyjechała na dwa tygodnie do przyjaciół, postanawia przez zemstę zbałamucić jej męża, co się jej dość prędko i łatwo udaje.

Skutkiem tego Bavolet wciągnięty w kohortę wielbicieli zalotnej artystki, jedzie z nią do Nizzy i tam rozpoczynają się powikłania tworzące prawdziwą łamigłówkę trudną do rozwiązania. W Nizzy naturalnie znajdują przyjaciół i znajomych, a między nimi pułkownika Rolanda wuja Klary, zowiącej się właściwie Walentyną. Roland nie wiedząc o jej zawodzie, układa małżeństwo i obiecuje siostrzenicy miliony. To zmusza awanturnicę do przyznania, że Bavolet jest jej mężem. Następują potem sceny bardzo komiczne, przybywają państwo Duplantier w towarzystwie prawdziwej pani Bavolet, zarówno sprytnej jak zazdrosnej, która przekonawszy się o wiarołomstwie męża, pozostawia tytuł swój awanturnicy a sama jej nazwę przybiera, przedstawiając się jako Klara Soleil. Że zaś w Nizzy urządzają koncert, wszyscy więc z zapałami swemi, nadskokami, czułościami, kwiatami i podarunkami zwracają się do p. Bavolet, która to wszystko przyjmuje jak najnaturalniej i swój udział przyrzeka.

Naturalnie rzecz się wyjaśnia i szybko potem następuje rozwiązanie.

Jakkolwiek kto sztukę tę będzie uważał, nie odmówi jej komizmu i wesołości, a chociaż zdarzają się w niej tu i owdzie nieprawdopodobieństwa rzeczy całej wysłuchać można z prawdziwą przyjemnością, gdyż prawie nie ma jednej nawet sceny, którąby nudną nazwać się godziło.

Gra artystów jak zwykle była staranną.

W rolach głównych, pani Leszczyńska jako pani Bavolet była zazdrosną, obrażoną i gniewną, ale bez przesady, chociaż z charakterystyką sfery do jakiej rola należy. Panna Czosnowska bardzo dobrze uwydatniła w roli Klary zalotność, ale godną rodu do jakiego należy.

W zachowaniu się jej nic bulwarem nie trąciło. Pp. Grubiński, Sikorski i Morozowicz wybornie komizmem niewymuszonym a pełnym naturalności, dopełniali całości ze staraniem godnem uznania.

RÓŻNE WIADOMOŚCI.

Kiedy my omdlewamy niemal, szczególniej w Warszawie, w zaduchu nieznośnych upałów jakich we Wrześniu najstarsi nie pamiętają ludzie, dzienniki zagraniczne przynoszą nam wiadomości:

O strasznem trzęsieniu ziemi, jakie w ubiegłym tygodniu nawiedziło wyspy greckie. Od pewnego czasu już zmiany atmosferyczne, niezwykłe upały, zupełna cisza i powodzie ostrzegały ludność miejscową o zbliżaniu się jakiegoś kataklizmu. W dniu 27-ym z. m. o godzinie 11 i pół wieczorem cała wyspa Zante nawiedziona została gwałtownym 15-cie sekund trwającem trzęsieniem ziemi; wszystkie domy uległy mniejszemu lub większemu zniszczeniu, ofiar w ludziach, oprócz dwóch wypadków śmierci ze strachu, na szczęście nie było. Punkt ciężkości trzęsienia był w morzu o 30 mil na południo wschód od Zante, gdzie podwodny telegragraf został zdruzgotany. W Morei, miasto Filiatra uległo zupełnemu zburzeniu, przyczem 80 osób postradało życie. W Catacolo i Pyrgos runęły prawie wszystkie domy. Wieści z wnętrza kraju nadchodzą bardzo powoli, gdyż komunikacya telefoniczna została wszędzie zniszczoną. Miasta Gargaliano i Marathonpolis w Messenii oraz wsie Kyparissi i Choremi w Arkadyi zburzone bez śladu. Eparcha okręgu zażądał 1,000 namiotów dla pozbawionych dachu. W Patras i całych wyspach Jońskich, a szczególniej w Korfu runęło wiele domów. Stan atmosfery jest jeszcze tak groźny, że obawiają się powszechnie ponownych wstrząśnień. Według oficyalnych danych ogółem 166 osób postradało życie, 500 jest ranionych, a szkody wynoszą kilka milionów.

Podobna klęska spadła także na Amerykę, w której na całem wybrzeżu od Alahamy do Nowego Yorku dały się uczuć gwałtowne trzęsienia ziemi, tak, że w wielu miastach ludność opuściła domy i przepędziła noc w polu. W Charleston ulice miasta zawalone są gruzami domów zburzonych trzęsieniem ziemi. Pod ruinami w wielu miejscach wybuchły pożary i około stu ludzi śmierć w nich znalazło.

Wewnętrzne te ziemi poruszenia, widać że niezwykle się rozwinęły, skoro nawet w końcu zeszłego miesiąca, około godziny 4 i pół rano, mieszkańcy zachodniej części Gdańska i przyległych okolic uczuli trzęsienie ziemi.

W miejskim szpitalu szczególniej, spostrzegli lekarze, urzędnicy i niektórzy chorzy, po huku podziemnym, poruszanie się nagłe łóżek, szaf, krzeseł i t. p.

Jak bacznym być należy w wyborze książek dostarczanym dzieciom do czytania, najlepiej świadczą dwa wypadki o których pisma codzienne doniosły.

Jeden z chłopczyków już dwunastoletnich na wakacyach upłynionych, dorwał się do czytania powieści *Ogniem i mieczem* Sienkiewicza, w których opisy strasznych i przesadzonych okrucieństw, tak szkodliwie na niego oddziałały, że w nocy zrywał się rozgorączkowany sennemi widziadłami. Ponawiając się takowe z coraz większą mocą, byłyby zapewne rozwinęły się w jaką ciężką chorobę, gdyby nie czujność opieki domowej, pilnującej aby dalsze czytanie tak szkodliwej książki miejsca nie miało.

Drugi wypadek wstrętny i wielce bolesny zarazem opisuje Kuryer Warszawski.

Do rąk 12-letniego K., malca, powiada sprawozdawca, przebywającego na wakacyach we wsi S. w domu rodzicielskim, dostał się rozgłośny przed laty romans Dumasa (ojca) „Monte-Christo."

Czytelnicy, którzy znają treść tego utworu przypomną sobie straszną scenę, gdy jedna z bohaterek powieści, nikczemna macocha, truje swoje pasierbice, małe dziewczątka, jedynie w tym celu, aby cały i niepodzielny majątek dostał się jej synowi.

Epizod ten romansu w małym K. rozbudził uczucia niegodziwe i nasunął mu plan piekielnej zbrodni.

Pewnego dnia pięcioletnia dziewczynka państwa K. silnie zaniemogła.

Choroba objawiła się gwałtownemi kurczami i silną gorączką.

Musiano wezwać lekarza, który zaopinjował, iż dziecko zostało otrute fosforem.

Kiedy pierwsze niebezpieczeństwo minęło i dziewczynka była już zdrowsza, badano ją co jadła.

— A to Kazio kazał mi połykać takie pigułki z chleba, mówiąc, że szybko urosnę i ja połknęłam pięć, ale więcej nie chciałam.

Rodzice nie mogąc pojąć co to znaczy, wzięli na konfesatę syna.

Malec mocno zmieszany, wyznał po długich dopytywaniach, iż owe gałki z chleba zawierały łebki od zapałek.

Z dalszego badania okazało się, iż mały zbrodniarz chciał otruć siostrę (z drugiego małżeństwa ojca), aby nie mieć współsukcesorki.

Trudno doprawdy uwierzyć w straszne pobudki i zamiary dwunastoletniego malca, a jednak wszystkie te szczegóły otrzymujemy z najwiarogodniejszego źródła.

Ostatecznie zbrodniarz przyznał się, iż epizod przeczytany w „Monte-Christo" nasunął mu pragnienie zbrodni, a później samo wykonanie.

Na szczęście, dawka była słaba, ratunek energiczny i dziecko zostało uratowane.

Malec objawiał w rezultacie skruchę i żal, nikczemny czyn jednak budzi poważne obawy o przyszłość takiego chłopca.

Kobiety zabierają się coraz więcej do zajęć, uprawianych dotąd jedynie przez mężczyzn. Jeden z domów kupieckich w Berlinie zatrudnił kilkanaście panien, używając ich do podróży po Niemczech. Podobno komiwojażerowie ci nowego rodzaju mają mieć wielkie powodzenie.

Przed rokiem donosiliśmy o naszej rodaczce, pannie Józefie Biegańskiej, która ukończywszy w Zurychu kursa farmaceutyczne, zapragnęła złożyć egzamin w kraju, aby otrzymać dyplom prowizora farmacyi.

Początkowo departament medyczny, do którego się odwołała kandydatka, udzielił odmowną odpowiedź.

Teraz jednak, według otrzymanej wczoraj przez rodzinę wiadomości, panna B. zyskała pożądane pozwolenie i egzamin odbędzie w Kijowie.

O ile się nie mylimy, będzie to pierwsza dyplomowana aptekarka-polka, chociaż wiele sióstr miłosierdzia, noszących nawet tytuł „sióstr aptekarek", doskonale jest obznajmionych z kuchnią łacińską.

Jeden wreszcie z właścicieli fabryk na obowiązek inkasenta przyjął dość młodą kobietę, żonę rzemieślnika przy tejże fabryce.

Podobno kobieta inkasent wypełnia ten dość uciążliwy obowiązek z chwalebną akuratnością.

Wdzieranie się to kobiet do zajęć męzkich, naturalnie wielu pracownikom zagrożonym współzawodnictwem podobać się nie może. Świeży tego dowód dał zjazd lekarzy angielskich w kąpielach morskich w Brigthon pod Londynem, na którem przemawiał prezes zebrania d-r Moore.

Treścią wykładu prezesa zjazdu, d-ra Moore, była kwestya wykształcenia kobiet. Mówca twierdził, że nie żywi wprawdzie żadnych przesądów przeciw dopuszczeniu kobiet do zawodu lekarskiego, wszelako uważa, iż nierozsądnie jest pozwolić występować kobietom do mozolnej konkurencyi na polu umysłowem z dowiedzioną przeważną siłą mężczyzn. Nauka zniechęca kobiety do małżeństwa i czyni je niezdolnemi do obowiązków matki. Przy zbytniem wykształceniu umysłowem kobiet, twierdził w dalszym ciągu mówca, nastąpi niechybnie degeneracya rodu ludzkiego. Kobiety, zakończył dr. Moore, niepowinny być mężczyznami, lecz matkami mężczyzn. Co prawda, podobna opozycya ze strony Anglika, w którego ojczyźnie wyższe wykształcenie kobiet wzięło swój początek i zdawało się oddawna kwestyą, niepodlegającą już żadnej dyskusyi, jest conajmniej niespodzianką.

Kiedy tak z kobietami rwącemi się do pracy chlebodajnej, walczą całe korporacye, pragnące dowodami niby naukowej mocy spychać je z drogi na którą weszły niektórzy paniczykowie nasi a raczej *próżniacy* lepszego gatunku, dokazują jak za najlepszych czasów, niepomni, że miliony oczów patrzy na nich i ze zgrozą i oburzeniem pogląda.

Niedawno na Saskiej Kępie urządzili wyścigi piesze, z wielką dla siebie uciechą, czem zachęceni, na wynajętych koniach odbyli wyścigi na polu Mokotowskiem.

Nagrody były urządzone ze składek, wszystko kosztowało przeszło rubli sześćset, ale za to dwóch spadłszy z koni dobrze się potłukło, dwóch o mało karku nie skręciło, jednemu koń kopytem złamał szczękę, drugiemu wybił dwa zęby a jeden tylko wyszedł bez szwanku na wielką wszystkich pociechę.

Jakby w odpowiedzi na te wybryki, pisma donoszą, że we wsi Szczuka, w gub. Płockiej, organista miejscowy zorganizował chór kościelny z dziewcząt i chłopców, śpiewający w czasie nabożeństwa w święta i w dni niedzielne.

Kto tu wart więcej, czy owi panicze spadkobiercy zasłużonych przodków, czy skromny organista o którym ludzie zaledwie w parafii wiedzą?

Powiadają, iż przybył do Warszawy jakiś cudzoziemiec zajmujący się uczeniem śpiewu kosów i kanarków, gdyby umiał uczyć rozumu półgłówków, jakże byłby pożądanym.

Upadek tiurniury. Osoba kompetentna, a mianowicie pewien właściciel modnego magazynu, po wróciwszy w tych dniach z Paryża, zapewnia nas, iż dnie tiurniury są już policzone.

Według układającego się programu mód zimowych, wszelkie wypukłości tualet damskich będą zniesione, a pierwszorzędne firmy o tem powiadomione, urządzają forsowne wyprzedaże za bezcen całego asortymentu tiurniur.

Maluczko więc a i w naszym nadwiślańskim Paryżu zniknie tiurniura, a z nią niespożyty materyał dla pism humorystyczuych.

Nowy amerykański telefon. Dwaj agenci giełdowi w New-Yorku Percy Townsend i W. de Miles ogłosili, iż wynaleźli nowy telefon za pomocą którego można rozmawiać „ustnie" z Chicago do San-Francisko, z New-Yorku do Pekinu do Melbourne i t. p.

Wiadomość ta wywołała w kołach giełdowych niezmierne wrażenie. Wszyscy chcieli widzieć i słyszeć.

Najprostszy pozornie telefon zaprowadzony był w jednym z biór z Brood-Street. Zapytano telefonicznie do Chicago o ceny zboża, bydła i t. p., po krótkiej pauzie, przyszła jak najdokładniejsza odpowiedź.

Wszystko było jak najlepiej, brakło tylko jeszcze towarzystwa z kapitałem nakładowym pół miliona talarów, lecz na drodze subskrypcyi suma ta rychło została zebraną i przelaną w „kasę towarzystwa".

W chwili rozpoczęcia robót wypadła jednemu z wynalazców pilna podróż do Chicago, dokąd powoływały go ciągle nowe obstalunki i wpisy na udziały towarzystwa.

W czasie nieobecności rzeczonego pana, wpadło na myśl jednemu z członków towarzystwa, wyśledzić w części choć tajemnicę wynalazku za pomocą wykrycia biegu drutu telefonicznego.

Lecz o dziwo! w tym samym już domu znalazł koniec takowego w jednej z suteryn, gdzie siedział przy telefonie drugi spólnik wynalazku i udzielał odpowiedzi niby z Chicago, Pekinu etc.

Odkrycie to zrobiło przygnębiające wrażenie: wszyscy zbiegli się dla odebrania swych pieniędzy lecz panowie wynalazcy byli nieobecni i nie pozostawili swego adresu.

Co więcej, wykazało się, iż Milet już sprzedał był „patent" swój nowemu nabywcy, który naturalnie również jak wszyscy, stracił swoje pieniądze.

Oszustwo to niesłychanie sprytnie ułożone stanowiło przez kilka dni wyłączny temat rozmowy w finansowych kołach New-Yorku.

Z dziedziny humorystycznej.

Niedawno *Słowo* ogłosiło na swych kolumnach, urywki z życia statystów teatralnych.—Co to za istoty o których od jakiegoś czasu jak o pannie świeżo na świat wyszłej, prawią kumoszki i reporterzy?

Na deskach, które świat wyobrażać mają, muszą (tak samo, jak w świecie rzeczywistym) występować i nieme figury i te pospolicie nazywają statystami. Najczęściej reprezentują oni lud i pojawiają się na scenie w rozmaitych ludowych przebraniach. Bywają także: orszakiem królewskim, rycerzami, pielgrzymami, rajcami miasta, „obywatelstwem," cyganami, zbójcami, załogą okrętu czyli majtkami, rybakami i t. d. Czasami znowu niektórzy statyści występują jako osobne osoby—także nic nie mówiące, jak np. murzyn, strażnik, paź, służący, demon, kat, cesarz, widmo, arcybiskup, król, duch, oficer i t. d., wogóle figury potrzebne do wystawy—do parady. W tym drugim wypadku na większych scenach nazywają ich figurantami.

Znakomity komik wiedeński Beckmann był swego czasu także takim figurantem. Pewnego razu statystując, stoczył improwizowaną walkę z mężem pozostawionym przypadkowo na scenie i ujawnił przy tej sposobności tyle siły komicznej, że odrazu odkryto w nim ogromny talent i otworzono mu drogę do największych tryumfów scenicznych. Jedna z najznakomitszych dzisiejszych artystek dramatycznych we Lwowie, była również z początku statystką, pobierającą 20 centów za występ, a zatem prosimy o wszelki respekt także i przed tą statystyką!

Kiedy Emil Devrient umarł i wieść o tem przyniesiono niespodzianie na scenę, jeden z statystów zawołał z melancholijnym patosem: „Ach! znowu jeden z naszych poszedł do grobu!"

To ogromne poczucie własnej wartości, a raczej ta pretensyonalność jest powodem często komicznych epizodów, rozgrywających się za kulisami i ztąd to powstają owe liczne, a tak zabawne „anegdoty statystyczne."

— A co panie kolego—zapytał raz pewien statysta Ładnowskiego po scenie sądowej z „Kupca weneckiego"—jak wypadło? Prawda żem dobrze zrobił?

— A cóżeś pan wogóle robił?

— Woźnego, panie woźnego!

— No, to na drugi raz nie otwieraj drzwi panie kolego! To należy do Shylocka. Wziąłeś mi jeden z najlepszych moich efektów, bałwanie jakiś...

Statysta zmyty poszedł precz.

Kiedy na scenie odbywa się bitwa, nierzadko się zdarza, że statyści wybierają sobie stronę, po której chcą walczyć.

Kiedy w lwowskiej polskiej operze przedstawiano po raz pierwszy „Afrykankę," zaraz po trzecim akcie zgłosił się do dyrektora, Stanisława Dobrzańskiego, jeden z umorusanych na „czarnego" syna południa, któremu kazano napadać na okręt Vasca di Gamy i rzekł:

— Panie dyrektorze! to nie może być w żaden sposób. Ja jestem z porządnej familii, moja matka „siedzi z bułkami" (co ma znaczyć że sprzedaje pieczywo)

ja nie mogę robić takiego czarnego psa; wolę być — hiszpańskim oficerem na okręcie.

W takich bitwach, kiedy dwie armie wypadają na siebie jedna z prawej, druga z lewej kulisy, nierzadko przychodzi do ostrej bijatyki nie na żarty; bywały sińce, guzy a nawet skaleczenia, wybicia oka i t. p. W Anglii, gdzie wszystko przedstawiają jak można najbardziej realistycznie, zdarzyło się na przedstawieniu „Ryszarda III,” że jeden z bohaterów bitwy pod Bosworth, walczący po stronie Ryszarda uszedł z pola walki za kulisy ze strzałą w nosie. Reżyser ażeby ranę statysty zaplastrować dał mu pół funta szterlinga. Na drugi wieczór rozwinęła się na scenie tak zjadliwa walka, że prawie wszyscy statyści byli pokaleczeni. Ale rachuba ich zawiodła; nie opatrywał ich reżyser, tylko lekarz teatralny.

Doświadczenie poucza, że nader niebezpiecznem jest powierzać młodemu statyście anonsowanie, choćby w najkrótszych słowach. Ażeby módz używać organów mowy przed publicznością, w blasku tysiąca lamp i oczu ludzkich, do tego potrzeba zawsze pewnej wprawy. Głośnym swego czasu zrobił się statysta, którego posłano na scenę, ażeby wygłosił tylko te słowa: „Wodzu! Karol pobity.” Wyszedłszy na scenę stanął z językiem zakołkowanym—ani rusz słowa wymówić.

— Jakże—pyta go wreszcie książę, którego grał podobno Kamiński—czy Karol pobity?...

— Nie, ale krawiec palnął w twarz fryzyera w garderobie.

Homeryczny śmiech publiczności i grzmot oklasków był nagrodą tego statysty, którym był późniejszy znakomity artysta polski, jeden z żyjących jeszcze koryfeuszów naszej sztuki dramatycznej.

Autor niniejszego szkicu sam był świadkiem, jak reżyser, obrabiając pewnego statystę, pokazywał mu na próbie coś sześć czy siedm razy, jak ma oddać list i jak się ukłonić, bo adresatem był książę. Wieczorem na przedstawieniu mimo tylokrotnych prób stało się przecież nieszczęście. Przy drzwiach stało krzesło. Nieszczęśliwy służący zrobił ukłon tak fatalnie, że głową wypadł za drzwi a na scenie zostały tylko jego służbiste pedały. Aktor grający księcia spostrzegłszy co się stało, rzekł z całym spokojem, jakby to leżało w roli:

O! cóż to ja widzę, o nieba kochane,
Merkury! twój poseł wybiega przez ścianę!

Potrzeba dodać, że sztuka była pisaną wierszem. Księciu udało się w ten sposób zapełnić pauzę potrzebną do wydobycia statysty z jego fatalnej sytuacyi, poczem najspokojniej w świecie złamał pieczątkę i czytał list dopóty, aż publiczność wykipiała śmiechem do woli. Mimo tak zręcznego manewru, jednak już tego wieczora nie słuchano tragedyi w należytem skupieniu ducha.

Łatwo teraz pojąć, że indywiduum zręczne w przynoszeniu i odnoszeniu listów na scenie staje się wkrótce „siłą” bardzo cenną w teatrze. We Francyi tych aktorów trzeciej klasy nazywają „accessoires.”

Jeden z nich Mr. Fombonne z teatru Porte St. Martin, był niezrównany w swoim fachu ról niemych i był swego czasu równie sławny, jak wielki aktor Lemaitre. Kiedy pewnego razu przeświadczony o tem, że jest genialny i „niezastąpiony” chciał się przenieść do Théatre Français, towarzystwo nie chcąc go stracić, zgodziło się wreszcie na to, ażeby mu otworzyć wstęp do „wielkiej garderoby,” t. j. do foyer, w którem ubierają się pierwszorzędni artyści. Od tej chwili wolno mu było nazywać Lemaitre'a „mon camarade,” a słynna Theorine prosiła artystę, który grał lokajów i nigdy słowa nie przemówił na scenie, o pozwolenie mówienia mu poufale: „ty.” Tak to poznano się na talencie Fombonna. To też on więcej niczego nie pragnął, jak tylko uznania i odtąd nie sztrejkował już więcej. Pozostał wierny swoim „kolegom,” którym przynosił i odnosił listy i przystawiał krzesła — zawsze z niezrównanem mistrzowstwem.

* * *

Jeden z warszawskich literatów pan X., ma się rozumieć zarozumiały jak literat z profesyi i do tego warszawski, był pewny że po napisaniu jednej dość wychuchanej powieści i kilku artykułów wydętych pozorną uczonością i farsy teatralnej nazwanej przez niego komedyą, pół Warszawy z czcią powtarza jego nazwisko, a pół kraju całego chlubi się jego genialnością. Wprowadzony do pewnego towarzystwa, przedstawiony został gospodyni, która uprzedzona o jego przybyciu, uprzejmie witając rzekła, że nazwisko jego zna bardzo dawno jako człowieka pełnego talentu i wielkiej przyszłości w rozwoju literatury.

Pan X. usłyszawszy to podrósł naraz jakby wspiął się na palce i z uśmiechem zadowolenia podsunął się ku młodziutkiej piętnastoletniej panience córce gospodarstwa przypatrującej mu się z wielką ciekawością i ożywieniem. Gdy przedstawiający wymienił nazwisko pana X. panienka owa z uśmiechem szczerej naiwności zawołała:

— Oh! znam nazwisko pana, codzień je czytuję.

— Zapewne powieść moją pani czytała...

— Nie, panie, ale...

— To zapewne zna pani moją komedyę?

— Nie panie, ale uczę się krawieczczyzny w magazynie naprzeciw pańskiego mieszkania, na drzwiach którego przybita jest blacha z nazwiskiem pańskiem, czytam je więc dwa razy dziennie...

— Oh! mimowoli zawołał p. X. a panienka zarumieniła się i nagle zamilkła.

OPIS RYCINY KOLOROWEJ.

Ubranie młodej panienki. Odrobione z gładkiego i deseniowego wełnianego materyału. Spódnica naszyta trzema falbanami zakończonemi plisą deseniową; stanik z otwartemi kaftanikowemi przodami uszyty z deseniowego materyału i dopełniony fałdowaną bluzką z gładkiej wełny, takież rękawy. Pasek z kokardą z wstążki.

Suknia z vêtement. Stanik wycięty, gorsecikowo sznurowany z przodu, w górze namarszczony w sutą bufę; rękawy również z bufami. Dolna połowa vêtement tworzy długą draperyę tiunikową, przysłaniającą całą spódnicę. Przednia część ozdobiona szerokim wykładem z materyału w pasy, spięta z boku dwoma agrafkami złotemi. Mankiety na rękawach i kołnierzu zapięte odpowiednio.

NOWE WYDAWNICTWA.

Livia Quintilla, dramat w jednym akcie, przez St. M. Rzętkowskiego napisany a wydany nakładem księgarni Teodora Paprockiego i S-ki.

Piękna ta praca w powtórnem już wydaniu wychodzi na widok publiczny. Rzecz dzieje się w Rzymie ale nie na wątku historycznym osnuta, jak sam Autor powiada, przedstawia jednak wiernie ducha czasu ówczesnego z jego pojęciami, przesądami i zwyczajami, pięknem słowem zobrazowanemi.

Złota przędza poetów i prozaików polskich, wyszedł Zeszyt 4 Tomu IV, ogólnego zaś zbioru zeszyt 40, nakładem Wł. Maleszewskiego i T. Paprockiego i S-ki.

Marcyana Kobiernickiego, nieznanego pisarza z XVI wieku, historya o czterech młodzieńcach i treny p. Jakóbowi Strusiowi od rąk tatarskich zginionemu, wydał Jakób Kazimierz Gieysztor.

☞ Do dzisiejszego Nru Tygodnika dołącza się rycina kolorowa.

Дозволено Цензурою. Варшава, 28 Августа 1886 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 1530 (26 nowy).



Pl. 659.

TYGODNIK MÓD.

W Warszawie.